Marcin Mielcarek

sztuka latania

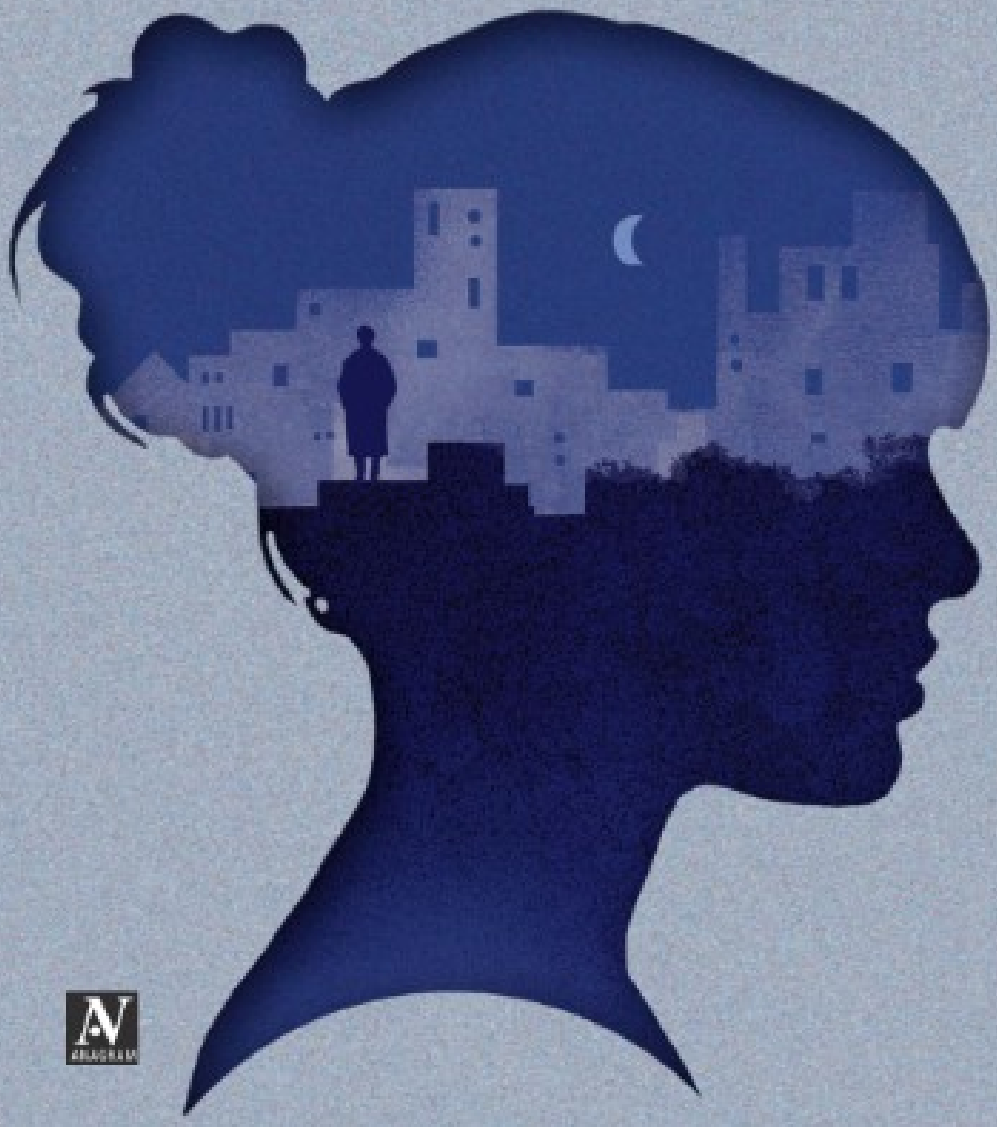

Marcin Mielcarek

sztuka latania

Wydawnictwo ANAGRAM

Warszawa, 2022 r.

Redakcja i korekta
Agnieszka Krizel

Okładka
Agnieszka Gogola

Opracowanie komputerowe
Wanda Mierzejewska
(e-mail: wanda.mierzejewska@interia.pl)

© Copyright by Marcin Mielcarek
and Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2022 r.

ISBN 978-83-67261-04-3

Wydawnictwo ANAGRAM
ul. Niekłańska 35 lok. 1
03-924 Warszawa

Księgarnia internetowa:
www.anagram.com.pl
e-mail: anagram@adres.pl

Powieści nie dedykuję nikomu.

Za to chcę podziękować trzem najważniejszym kobietom w moim życiu:
Wandzie, Lucynie i Emilii.

Jestem wdzięczny Wam za wszystko.

1

W jednej chwili wszystko zastygło. Pociągi, perony, świetlne tablice, żelazne słupy, szary bruk i szklany dach, a nawet brudne niebo czy blade słońce. Zastygło wszystko, tylko nie ludzie. Ludzi nie dało się tak po prostu zatrzymać.

Zdjąłem swoją torbę w starą kratkę, pamiętającą jeszcze chyba końcówkę PRL-u, bo pożyczyłem ją od ojca, następnie wąskim korytarzem udałem się ku wyjściu. Przede mną, w długiej kolejce przed drzwiami, czekało wielu podobnych do mnie. Patrząc na nich, wiedziałem, że mamy ze sobą dużo wspólnego. Głównie to, że miasto wcale na nas nie czekało.

Wysiadłem z pociągu i nie zrobiłem nawet dwóch kroków, kiedy to poczułem. Dziwny zapach wisiał w powietrzu. Zapach, który od samego początku do mnie przylgnął, osiadł na duszy i ciele, powoli stając się częścią mnie, albo to ja z upływem czasu stałem się częścią niego. Nie wiedziałem, czy to ludzie, czy też samo miasto było źródłem tej osobliwej woni – jak stare wymieszane z nowym, wczorajszy dzień z jutrem, jak historia z tym, co miało dopiero nadejść. Pomyślałem o świeżo pomalowanym pokoju w starej kamienicy, o białej farbie, ścianie z czerwonych cegieł czy też rumieńcu na bladej skórze. Pomyślałem o krwi na czystej koszuli.

I było w tym jeszcze coś. Coś, czego nie mogłem odgadnąć. To trzecie – inne, nieznajome, obce – tak o tym pomyślałem, tak sobie wyobrażałem, o ile zapach może nabrać konkretnej formy, posiadać obraz, jakiś kolor. Jeszcze raz zaciągnąłem się tym zapachem. Potem powoli wypuściłem powietrze. Rozejrzałem się dookoła. Widziałem tylko chmary pełzających we wszystkich kierunkach ludzi. To był odpychający widok, taki, który potrafił wgnieść w ziemię. Nie mogłem się jednak poddać, musiałem podjąć rzuconą rękawicę. To miasto nie musiało na mnie czekać, nie miało to znaczenia. Ważne, że to ja tutaj przyjechałem. Wracać zresztą nie miałem dokąd.

Uśmiechnąłem się pod nosem, a potem poprawiłem torbę na ramieniu i przedarłem się na najbliższy przystanek autobusowy. Pokój, który miałem wynająć, znajdował się pięć kilometrów od dworca. Zaczęło padać i zanim zdążyłem schronić się pod zadaszoną wiatą, cały przemokłem.

Autobus był przepełniony, brakowało wolnego miejsca, stałem w ścisku. Nie miałem co zrobić z torbą, więc trzymałem ją w ramionach, uważając żeby kogoś nie zahaczyć. Chwyciłem się kurczowo szarej rączki dyndającej nad moją głową i zacząłem przyglądać się ludziom. Wśród tego przemokniętego, smutnego ludu w oczy rzuciła mi się kobieta szczególnej urody, dziewczyna właściwie. Stała do mnie przodem i patrzyła, ale nie na

mnie, patrzyła gdzieś, gdzieś przed siebie. Wzrok miała nieobecny, oczy piękne i błyszczące ciemnością. Prawie czarne bez źrenic, niczym dwie umarłe gwiazdy. Patrząc tak na nią odczuwałem nieodparte wrażenie, jakbym gdzieś już wcześniej ją widział – dziwne było to uczucie znajomego. Złapałem się na tym, że patrzenie w jej bladą twarz sprawia mi przyjemność. Zaróżowione poliki na białej cerze, ciemne brwi i rzęsy, drobne, zgrabne usta. Miałem ochotę dotknąć jej ciemnych, prostych włosów. Ciągnęło mnie do niej. Pomyślałem, czy się nie odezwać, szukałem pretekstu, dobrych słów, odpowiedniej kombinacji słów, która poruszyłaby coś w takiej kobiecie. Nie znalazłem. Nie odezwałem się.

Wiedziałem przecież, że to jedna z wielu cudownych kobiet tego miasta, ale ta wydawała mi się jeszcze bardziej cudowna niż wszystkie inne. Głupie było to moje myślenie o niej w ten sposób, była mi przecież zupełnie obca. Długo jej się przypatrywałem, bo długo jechaliśmy razem. Wciąż staliśmy naprzeciw siebie, ale ona zdawała się mnie nie zauważać. Zaczęła przeglądać coś w telefonie, chyba czytała. Jej cudne oczy poruszały się rytmicznie od lewej do prawej. W końcu wysiadła, zniknęła w nocy i w deszczu, a ja nie mogłem przestać o niej myśleć. Została w mojej głowie, wypełniła ją na dobre.

Wyglądając za nią przez szybę, wiedziałem, że muszę coś o niej napisać, coś prawdziwego. O mnie i o niej. Była przecież jak senne marzenie, jak wizja proroka, może samo świadectwo na istnienie Boga. Nie mogłem przejść obok niej obojętnie.

Cały przejazd zajął mi jakieś pół godziny. To był jeden z końcowych przystanków, wysiadłem jako jedyny, naciągnąłem kurtkę na głowę i wyszedłem w objęcia ulewy. Sprawdziłem adres w telefonie, włączyłem nawigację i poszedłem wzdłuż ulicy. Kilka minut i znalazłem się na osiedlu, pod moim blokiem. Dwóch młodych facetów w bluzach stało przed drzwiami, paląc i gadając coś o autach, a kiedy podszedłem, obrzucili mnie zaciekawionymi spojrzeniami. Wybrałem numer 52 na domofonie, dzwoniłem i dzwoniłem, tamci palili i rozmawiali, ignorując mnie, tak jak ignorował mnie ktoś z mieszkania. W końcu ten ktoś się odezwał.

– No? – Ten ktoś miał znudzony głos.

– To ja – oznajmiłem równie bezpłciowo.

– To ja, czyli kto?

– Karol. Nowy na mieszkaniu.

– Aha. Okej.

Zabrzęczało krótko i drzwi puściły, więc zaraz wszedłem. W skrzynce pocztowej numer 52 zalegała masa kolorowego papieru, był nawet jakiś list. Wziąłem to wszystko ze sobą i schodami udałem się na piąte piętro, bo windy były zajęte, a nie chciało mi się czekać. To były dosyć stare bloki, takie po-robotnicze, z dużą ilością mieszkań, długimi korytarzami, niskimi sufitami, wąskimi schodami i dwiema małymi windami. A najważniejszą cechą osiedla, bloków i mieszkań była cena. Było tutaj cholernie tanio, cholernie jak na to miasto. Kiedy stanąłem pod drzwiami, telefon pokazał mi, że dochodzi dziewiąta.

Na klamce wisiały ulotki reklamowe jakichś pizzerii, dwie ulotki wystawały też spod brązowej wycieraczki pełnej piachu. Zadzwoniłem dwa razy dzwonkiem. Za trzecim usłyszałem ciężkie kroki dochodzące ze środka. Otworzył mi chudy koleś bez koszulki, w brudnych dresach i gumowych klapkach, zarośnięty, ogolony na zero, z przekrwionymi oczami i sinymi worami pod nimi.

– Co tam? – spytał, jakby się gdzieś spieszył.

– Karol – przedstawiłem się i wyciągnąłem rękę.

– Ten nowy? – Odwzajemnił uścisk. Chwyt miał słaby, dłoń miękką i mokrą. Swoją wytarłem chwilę później o jeansy, kiedy nie patrzył.

– No, nowy.

– Okej, właź.

Wrócił do swojego gniazda. Zamknąłem za sobą mieszkanie, zdjąłem buty i płaszcz, a torbę położyłem na brązowych kafelkach, bo nie miałem pojęcia, który pokój jest mój. Zajrzałem do tego chudego kolesia przez uchylone drzwi, zrobiłem krok, od progu buchnęło ciepłe, jakby duszne powietrze. Na pewno czuć było tutaj kilkudniowy męski pot. Gość grał na kompie, w CS-a, na uszach miał założone słuchawki, chaotycznie poruszał myszką we wszystkie strony. Poczekałem aż go tam zabiją i odezwałem się głośno:

– Który pokój jest mój?

– Co? – rzucił do mnie, zdejmując słuchawki. To „co” było jak mignięcie.

– Pytam, który mam pokój? – ponowiłem pytanie wolniej i głośniej.

– Ten z białymi drzwiami, chyba, tymi porysowanymi, znaczy. Stoi pusty. W tamtym drugim podobno ktoś mieszka, ale nigdy tego gościa nie widziałem na oczy.

– Dobra. Dzięki.

Chłopak przyjrzał mi się dokładnie, nie wiem o co mu chodziło, ale patrzył na mnie z dziwnym zainteresowaniem. Ja też spojrzałem na niego raz jeszcze, zapamiętałem dobrze jego twarz, teraz bez problemu poznałbym go na ulicy. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia parę lat i wyglądał na chorego, tak przewlekle chorego. Jego skóra była niezdrowo blada, a pod nią widocznie zarysowane żebra. Widziałem też błękitne nitki żył na szczupłych rękach i czerwone krosty rozsiane po całym ciele.

– Dawid jestem – oznajmił po chwili tym charakterystycznym pośpiechem. Zrozumiałem, że on tak właśnie mówił. Szybko. Taka maniera.

– W porządku, Dawid.

– Jakbyś czegoś chciał, to wal śmiało.

– Pewnie. Dzięki.

Chyba się do mnie uśmiechnął, tak mi się przynajmniej wydawało, i wrócił do swojego zajęcia. Wycofałem się na korytarz. Zgarnąłem torbę z podłogi i nacisnąłem na klamkę od pokoju z białymi drzwiami. Odszukałem włącznik, zapaliłem światło i wszedłem do środka. Tutaj też uderzyła mnie duchota. Rzuciłem torbę na krzesło i otworzyłem okno, przez które wpadło świeże powietrze oraz przyjemny dźwięk, jaki wydawał deszcz.

Mój nowy pokój prezentował się nędznie, ale nie miałem co narzekać, był to przecież mój pokój, mój własny kąt, miejsce, które od dziś przyszło mi nazywać domem. Miałem tutaj jednoosobowe łóżko z wysłużonym materacem, obok niego komodę, przy oknie puste biurko z lampką i krzesłem, a pod ścianą dużą szafę, na środku dywan, coś jakby perski. Te wszystkie meble były w stylu późnego Gierka i pachniały starością. Rozpakowałem się w kilka minut, pościeliłem łóżko, na biurku ulokowałem laptopa. Potem zadzwoniłem do matki z wiadomością, że dotarłem na miejsce. Krótko z nią rozmawiałem, same ogólniki. Ojciec nie chciał podejść do telefonu, był zajęty.

Potrzeba napisania czegoś o tamtej dziewczynie z autobusu wciąż we mnie siedziała. Ogarnąłem się na szybko w łazience, wziąłem prysznic w strasznie zabrudzonej kabinie, wróciłem i zabrałem się do roboty.

Był to tekst o kobiecie samotnej, na pewien sposób fatalnej, bo fatalność wpisuje się w zranioną duszę – całkowicie smutną, jałową duszę. Opowieść bez zbytniego moralizowania, słodko-gorzka miłosna historyjka. Oczywiście był też seks, bo seks jest częścią życia tak samo, jak częścią życia jest miłość, są łzy, jest śmiech i jest śmierć. Wszystko to musiało wybrzmieć w tekście o najsmutniejszej dziewczynie w mieście.

Skończyłem późno w nocy, gdzieś przed trzecią. Przeczytałem całość tylko raz i położyłem się do łóżka, wsłuchując w przyjemny szum dochodzący zza okna. Długo myślałem o tym, co udało mi się napisać. Leżałem i wciąż miałem w głowie swój tekst – słowa tworzące zdania, zdania zamieniające się w życie. Doszło do tego, że nie wiedziałem już, czy o tym wszystkim śnię czy tylko myślę. Wstałem z łóżka, otworzyłem laptop i zacząłem czytać. Wers po wersie, na głos, ale cicho. Raz, drugi, trzeci. Już niczego nie dopisywałem.

Wpadłem też na pomysł, że skoro już coś takiego mam, to mógłbym to wysłać, gdziekolwiek. Często gdzieś coś posyłałem, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi zwrotnej. To dołowało, podcinało skrzydła, ale nie jakoś mocno. Wiedziałem, że trzeba robić swoje, zawsze trzeba przecież robić swoje. Zatem napisałem do dwóch czy trzech czasopism, dołączając plik z tekstem. Potem położyłem się, a sen nadszedł od razu. Spałem wyjątkowo dobrze, prawie jak dziecko. Tej pierwszej nocy nie śniło mi się nic, o czym bym rano pamiętał.

2

Patrzyłem przez okno. Po wczorajszym deszczu i ciemnych chmurach nie było śladu. Słońce, znajdujące się już dosyć wysoko, przyjemnie ogrzewało leżące w dole trawniki, drzewa, parkingi, place zabaw, ławki i chodniki. Ludzie włóczyli się po wszystkich tych miejscach. Przyglądałem się im jakąś chwilę – tym siedzącym dziadkom, biegającym dzieciakom i ich znudzonym matkom, jakimś dziwnym typom, odpoczywającym pod drzewem. Okolica okazała się jednak nie taka zła, jak to sobie wyobrażałem – blok

naprzeciwko był ocieplony i odmalowany, ten obok również. Rosło tu sporo zieleni, zadbanej, cała reszta, jak ławki czy kosze, nawet kostka brukowa i asfalt, była całkiem nowa.

Otworzyłem okno na całą szerokość i przez to świeże powietrze poczułem, że jestem głodny – nie jadłem obiadu, nie jadłem kolacji, w nocy także. Musiałem zejść do jakiegoś sklepu spożywczego czy marketu i kupić coś do lodówki – przyjechałem dosłownie z niczym. Nadal jednak nie miałem kluczy do mieszkania, więc poszedłem do pokoju współlokatora i zapukałem – swój komplet miałem dostać jeszcze dziś. Długo waliłem w drzwi zanim w końcu usłyszałem coś na kształt: *wejść.*

W pokoju panowały ciemności, okna były zasłonięte szarymi roletami, wczorajszy przykry zapach wcale się nie ulotnił, chyba nawet wzmógł. Na środku pokoju, na dywanie, zalegały jakieś śmieci. Pod komputerem też. No i białe, zmięte chusteczki. Dawid leżał pod kołdrą, chyba półprzytomny, bo patrzył na mnie tylko jednym okiem. Złym, przekrwionym.

– Słuchaj, stary, nie mam kluczy, musisz mi pożyczyć swoje – zagaiłem, stojąc w drzwiach.

– Gdzie idziesz? – Głos miał zmęczony, jakiś płaski.

– Do sklepu.

Odrzucił i skotłował w nogach kołdrę. Potem uniósł się lekko i wyciągnął rękę. Chyba chciał wstać, ale westchnął i na tym poprzestał. Opadł z powrotem na plecy. Ziewnął i się odezwał.

– Są na biurku. Weź se.

Wszedłem, omijając miny w postaci śmieci i se wziąłem te klucze. Były lepkie i śliskie. Nie wiem.

– Kup mi puszkę red bulla. Albo najlepiej dwie – powiedział, kiedy już wychodziłem. – Potem oddam ci hajs.

Przysługa za przysługę.

Założyłem dresy, starą bluzę i po chwili zjeżdżałem ciasną windą na parter. Jechała ze mną gruba, zaniedbana baba – włosy w nieładzie, z drugiego podbródka wystawała jej ciemna szczecina – na oko sześćdziesiąt lat, ale w dowodzie miała pewnie jakieś czterdzieści. Wsiadła piętro niżej, postękując. Trzymała tęczową torbę na zakupy i łypała na mnie nieprzychylnym okiem. Czekałem, aż się odezwie. Po chwili odezwała się:

– Nie znam pana, kto pan jest? – Poczułem chyba cebulę, kiedy otworzyła usta.

– Dopiero się wprowadziłem – odparłem spokojnie.

– Na które? – spytała z podejrzliwością w głosie i wiedziałem już, że według niej jestem zwykłym intruzem.

– Na piąte.

– Tak?

– Tak.

Cały czas przyglądała mi się nieufanie, jakoś złowrogo. Chyba tym swoim patrzeniem chciała mnie od siebie odsunąć, odepchnąć czy wcisnąć w sam róg, a może nawet głębiej. Nie cofnąłem się o centymetr. Winda w końcu zjechała na dół.

– No to, do widzenia – rzuciłem obojętnie. Wiedziałem, że nie raz będziemy się w tej windzie widywać. Na bank.

– Nie kojarzę pana – stwierdziła, jakby była to jakaś święta i jedyna prawda, bo przecież skoro mnie nie znała, nie mogłem tutaj mieszkać.

Wyszedłem z windy i truchtem zbiegłem po kilku schodkach. Znalazłem się przed blokiem. Zrobiłem parę kroków i zatrzymałem się. Spojrzałem w górę. Niebo miało kolor turkusu, chmury wisiały leniwe. Słońce ogrzewało przyjemnie twarz. Naprawdę zapowiadało się na cudny dzień. Poprawiłem plecak, włożyłem słuchawki do uszu i ruszyłem przed siebie.

3

Kiedy wróciłem mój współlokator miał otwarte drzwi od swojego pokoju. Nie było już w nim tak ciemno, jak prawie godzinę temu. Słyszałem za to stukanie w klawiaturę. Głośne i prędkie. Dawid siedział zgarbiony i grał – na ekranie bezładnie poruszały się jakieś postacie, były też drzewa, trawa i góry. Magiczny świat w pudełku, a wszystko w nim jakby z kartonu. Postawiłem mu na biurku dwie puszki, które sobie zażyczył i poszedłem do kuchni. Byłem głodny jak wilk, jak cała wataha. Lodówka w środku śmierdziała, pełna była śmieci i zepsutego żarcia. Mogłem się tego spodziewać. Wywaliłem to wszystko do kosza i przetarłem mokrą ścierą. Niewiele to pomogło. Wypakowałem zakupy. Wziąłem brudny czajnik, wylałem z niego wodę po parówkach – przynajmniej tak to pachniało – nalałem świeżej i włączyłem. Otwierałem wszystkie szafki w poszukiwaniu kubka i jakiegoś talerza. Znalazłem, ale też brudne. Umyłem, wytarłem i wrzuciłem do kubka herbatę. Pomyślałem, że czeka mnie tutaj, w tym mieszkaniu, w cholerę roboty.

Jadłem śniadanie, kiedy wszedł w samych gaciach. Mrużył oczy. Na stopach miał te swoje gumowe klapki. Zaczął się szwendać po kuchni, a ja patrzyłem obojętnie co robi. Na stole, przy którym siedziałem stały dwie salaterki – jedna z cukrem, druga z solą. Zatrzymał się obok mnie, włożył nagle palec do ust, poślinił i wsadził do jednej ze salaterek.

– Co ty robisz? – spytałem zaskoczony.

– Sprawdzam, który to cukier, a która sól – odparł bez przekonania i krzty życia. Sprawiał wrażenie całkowicie znudzonego, zmęczonego, jakby płaskiego – duchowo i fizycznie. Był jak zombie – przygarbiony, strasznie chudy i szary na twarzy. I te czarne wory pod oczami. No zombie jak nic.

– Przecież to widać gołym okiem – powiedziałem.

– Mam słaby wzrok.

O to mogłem go podejrzewać.

– I zawsze tak robisz?

– Zawsze.

Sięgnąłem po swoją herbatę i już miałem się napić, ale odsunąłem ją, bo przecież słodziłem. Pomyślałem, że będę musiał kupić sobie własny i trzymać go w pokoju. Sól też. Dawid usiadł przy mnie ze swoim kubkiem. Nie wiem, może uważał, że powinniśmy złapać jakiś kontakt, jakikolwiek, bo co chwila mnie o coś pytał. Trochę mnie to męczyło.

– Jak się nazywasz?

– Bukowski.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Pracujesz?

– Szukam roboty.

– Jesteś studentem?

– Nie.

– Masz dziewczynę?

– Nie.

– Grasz na kompie?

– Nie.

– Lubisz Gwiezdne wojny?

– Nie.

Nie. Nie! NIE!

Długo mnie tak męczył tymi ogólnymi, nijakimi pytaniami. Odpowiadałem więc zdawkowo, wręcz chamsko. Sam nie pytałem go o nic. W końcu dał sobie spokój, popatrzył na mnie z wyrzutem i poszedł do siebie. Usłyszałem trzaśnięcie drzwiami. Trochę za głośno. Zastanowiłem się chwilę. Chyba się obraził. Złapałem się na tym, że upiłem sporo tej herbaty. Cholera.

Fakt, może to nie było fair, ani tym bardziej miłe z mojej strony, w końcu mieliśmy mieszkać pod jednym dachem, ale jakoś nie chciałem się otworzyć. Nie umiałem zdobywać sympatii ludzi. Właściwie nigdy tego nie potrzebowałem. Ani sympatii ani ludzi. Dobrze mi było samemu, najlepiej. Mimo to sumienie nie dawało mi spokoju przez resztę dnia. Mogłem przecież być odrobinę milszy. Niewiele to kosztuje.

4

Z facetem od mieszkania umówiłem się dzień wcześniej w jego domu, miałem podejść wieczorem, podpisać umowę i odebrać klucze – dorobienie ich na własną rękę było surowo zabronione. Gość nazywał się Krawiec. Nigdy wcześniej go nie widziałem. Około

osiemnastej byłem pod wskazanym adresem. Okazało się, że Krawiec ma ładny, duży dom na osiedlu jednorodzinnych domków. Przed garażem stał nowy, lśniący, czarny peugeot. Podszedłem do furtki i wcisnąłem przycisk domofonu. Rozejrzałem się po okolicy. Same nowe domy i same nowe auta. Zadbana ulica. Piękne trawniki i ogrody z altanami. Baseny. Kostka brukowa. Błyszczące numery na ścianach pokrytych białą farbą i tynkiem szlachetnym.

Zacząłem sobie wyobrażać, że to ja mieszkam pod jednym z tych numerów – przyjeżdżam z nudnej pracy drogim autem, a moja seksowna żona wygląda za mną w oknie i czeka z obiadem i całą resztą, jaką może zaoferować mężowi. Lekkie, naiwne, ale przyjemne życie. Właściwie mógłbym tak żyć, chciałbym tak żyć. Po cichu wszyscy do tego właśnie dążymy. Do obrastania w tłuszcz i inne dobra. Ludzie są wygodni i leniwi. To cecha, nie przywara.

Nagle usłyszałem kobiecy głos.

– Tak?

– Ja do pana Krawca. Po klucze do mieszkania. Byłem umówiony.

– Kto?

– Karol Bukowski.

– Proszę wejść i poczekać przed domem.

Chwilę jeszcze postałem, aż w końcu zabrzęczało w głośniku od domofonu. Znalazłem się za wysokim płotem i furtką. Dużą mieli działkę, zadbaną i czystą. Pod stopami do samych drzwi kostka ułożona w jakiś dziwny wzór. Usiadłem na drewnianym krześle przy stoliku ogrodowym i czekałem. Stało tutaj mnóstwo krasnali pochowanych po całej posesji. Wszystkie się czymś różniły. Jeden z nich z brzuchem jak piłka, nawet patrzył na mnie jakoś tak nieprzyjaźnie – stał nieopodal, a ja zaglądałem w jego martwe, malowane, zielone oczy.

– I co tak się gapisz, mały? – zaczepiłem go.

Mały nie odpowiedział. Chyba był ponad to.

Z ulicy doszedł mnie odgłos zwalniającego auta, a potem otworzyła się brama wjazdowa. Ktoś wjechał starszą skodą i stanął obok nowiutkiego, długachnego peugeota. Zgrzytnął ręczny. Z samochodu wysiadł chłopak, na oko w moim wieku i na oko niższy, ciekawie i modnie ubrany, z ciemną grzywą opadającą w nieładzie na czoło. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne. Zrobił kilka kroków i zatrzymał się obok mnie.

– Jak leci, stary? – zagaił luźno. Nie było w tym złośliwości, przynajmniej nic takiego nie wyczułem.

– W porządku – odparłem.

– Mamy dziś bardzo ładny dzień, prawda? – ciągnął dalej.

– Pewnie.

Przyglądał mi się osobliwie, a ja zastanawiałem się, kiedy zapyta, co ja tutaj właściwie robię. Nie zapytał. Chyba miał to gdzieś.

– Boisz się psów? – spytał.

– Zależy. Nie.

– To dobrze.

Odwrócił się i odszedł, zniknął gdzieś za domem. Kilka sekund później usłyszałem niegłośny tupot czterech łap, który zmierzał w moją stronę. Potem zobaczyłem te cztery łapy i serce na moment mi stanęło. Wielki owczarek wyłonił się zza węgła i przystanął, kiedy tylko mnie spostrzegł. Obserwował bacznie, z chłodem w ciemnych oczach. Dziwne napięcie wisiało w powietrzu. I nagle odniosłem wrażenie, jakby się do mnie uśmiechnął, bo przecież psy się nie uśmiechają – i dopadł do mnie dziko, radośnie. Odetchnąłem, bo naprawdę zaczynałem się bać. Pogłaskałem go, a on lizał mnie po rękach, nogach, twarzy. Podskakiwał jak szalony, wariował, jakbym był jego dobrym, starym kumplem.

– No nieźle – usłyszałem. – Byłem pewien, że odgryzie ci tyłek.

Koleś stał i śmiał się, a mnie wcale nie było do śmiechu. Potem zawołał psa i rzucił mu piłkę na trawę. Czarne, podpalane bydle pognało za nią.

– Robert jestem – przedstawił się.

– Karol.

Patrzył na mnie uważnie. Badał moją twarz, jakby było w niej coś interesującego. Ja nigdy nic ciekawego w niej nie znalazłem.

– Znamy się? Wydaje mi się, że gdzieś cię już widziałem, kojarzę twoją twarz – zapytał, zdejmując okulary. Przewiesił je przez dekolt w koszulce. Ja na pewno wcześniej go nie spotkałem.

– Nie znamy – zapewniłem.

– Dziwne – stwierdził. – Długo tak już siedzisz?

– Niedługo.

– Średnio jesteś rozmowny, co?

– Średnio.

Pokiwał głową, potem westchnął, zmierzwił palcami grzywkę i poszedł w kierunku drzwi. Zatrzymał się w nich i odezwał obojętnie:

– Czekasz na matkę czy na ojca?

– Na ojca.

– Powiem mu, że przyszedłeś.

– Dzięki.

Robert otworzył drzwi, wszedł do środka – już nie wrócił. Musiałem czekać na Krawca jeszcze dobrych kilka minut – najwidoczniej jego czas był wart więcej niż mój. Stróżujący owczarek już do mnie nie przybiegł. Leżał teraz w cieniu pod bramą i patrzył w moją stronę z wystającym długim, czerwonym językiem.

Krawiec był takim typem, jakim mogłem go sobie wyobrażać.

Facet wyższy niż ja, solidny, barczysty, trochę zapuszczony – przytłaczał posturą. Włosy siwe, krótko ogolony, twarz śniada od opalenizny. Dłonie też. Elegancko ubrany – marynarka, koszula, półbuty, brakowało tylko krawata. Mówił szybko i konkretnie. Żadnego uśmiechu na twarzy. Czysty biznes.

Formalności załatwiliśmy w kilka chwil. Zero gadki-szmatki. Szybki rzut oka na papiery, dowody, złożenie podpisów, silny uścisk dłoni. Kilka pouczeń i rad. Przelew miałem wykonać po powrocie do mieszkania. I tyle.

– Do widzenia, panie Bukowski – powiedział protekcjonalnie, wstając z krzesła.

– Do widzenia, panie Krawiec.

Wziąłem to, co moje i zabrałem się z drogiej posesji. Najbliższy przystanek miałem pół kilometra stąd – tramwaje tutaj też nie jeździły, tym bardziej metro. Siedząc już w autobusie, poczułem zmęczenie, ogarnęła mnie nagła senność. Ziewnąłem głęboko, nie zakrywając ust. Zapomniałem się, cholera. Rozejrzałem się zaraz, czy nikt nie widział. Nie. Chyba nie. Właściwie tylko siedzący naprzeciwko menel patrzył na mnie zrezygnowany. Patrzył lichymi, smutnymi oczyma.

5

Niełatwo było mi znaleźć pracę. Mój życiorys – tak mi się przynajmniej wydaje – nie należał do ubogich, natomiast CV – ta nieszczęsna, pojedyncza strona, nad którą chyba każdy spędził zbyt dużo czasu – już owszem. Poza trzema latami dziennikarstwa na podrzędnej uczelni, mogłem wpisać jedynie pracę przy tankowaniu paliwa – stacja benzynowa, dwa miesiące na zleceniu. Nic więcej. Cała reszta to pustka na bieli, czyli czarna dziura prac, wszelakich podlejszych i cięższych zajęć, jakie wykonywałem bez umów. Tak to niestety wyglądało.

Zanim tutaj przyjechałem, wypełniłem mnóstwo internetowych formularzy w sprawie roboty – odpowiadałem na te wszystkie ich pytania najlepiej jak umiałem, czyli pełnymi zdaniami, używając mądrych słów. Porozsyłałem kandydaturę swojej osoby, gdzie się tylko dało. Długo nikt nie odpowiadał. Prawie.

Nikt, poza jedną siecią sklepów osiedlowych, która specjalizowała się w sprzedaży alkoholu i to głównie przed północą. Nigdy nie myślałem na poważnie o pracy w sklepie – pracowałem kiedyś w jednym dorywczo i średnio mi to pasowało, ale kiedy do mnie zadzwonili zgodziłem się przyjść na rozmowę na drugi dzień. Mus to mus, a praca jak praca. Od zawsze mówiono mi, że pracę trzeba szanować i cieszyć się, kiedy jakaś była – niestety zbyt długo przerabiałem to słowo „jakaś” i samo zatrudnienie budziło niewiele radości. Było rano, zadzwonili do mnie chwilę po przebudzeniu. Potem przez cały dzień myślałem o tej pracy – kiedy byłem w parku zastanawiałem się, jak będę wyglądał w zielonej koszulce z kołnierzykiem i kiedy brałem wieczorem prysznic, myślałem o tych wszystkich nocnych pijakach i burdach, jakie mnie z pewnością czekają. Nie wiem, ale zrobiło mi się dziwnie głupio na myśl o harówie w sklepie. W końcu byłem bliski tego, żeby zadzwonić i odwołać spotkanie – liczyłem, że spłynie skądś lepsza oferta, wysłałem CV do kilku redakcji gazet i czasopism. Może mierzyłem wysoko, nawet za wysoko, ale wtedy mniejsze jest rozczarowanie, jeżeli się nie uda. Jeżeli się zaś uda to niezły fart.

Przed snem też o tym myślałem, znaczy o sklepie, o mnie w nim. Ale następnego ranka wziąłem to na chłodno. Potrzebowałem, do cholery, pracy – pieniędzy nie miałem jakoś dużo, jedynie na bieżący miesiąc.

Czyli sklep. Od czegoś przecież musiałem zacząć i za coś żyć.

Okazało się, że nie mam tam wcale daleko – mógłbym chodzić spokojnie pieszo. Sklep tuż przy ulicy, w takim jakby pasażu, przy ładnej alejce z brzozami i przystankiem autobusowym. Wszedłem do środka. Za ladą stał jakiś facet. Miał może ze czterdzieści lat i był strasznie niski, ledwo co wystawał zza lady. Był otyły, twarz miał jak żaba, rozjechana, rozciągnięta żaba. Przyglądał mi się z uwagą.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Dobry – przeciągnął.

– Miałem się tutaj stawić na rozmowę… – zacząłem, ale nie powiedziałem nic więcej, bo zaraz mi przerwał.

– Tak czułem – wyznał szybko. Głos miał jakiś śmieszny, wysoki, ale w sumie pasujący do całej reszty jego osoby. – Niech pan poczeka, zamknę sklep i pogadamy trochę.

Wyszedł zza lady, minął mnie – sięgał mi do ramion – odwrócił kartkę na drzwiach i gestem zaprosił do pomieszczenia dla pracowników. Wszedłem, on za mną. Panował tutaj syf, wszędzie leżały jakieś kartony i papiery, a podłoga była zakurzona, z czarnymi smugami od błota czy innego gówna. Usiadłem na zdezelowanym krzesełku przy zagraconym stoliku. Facet usiadł na drugim i odsunął dzielący nas kubek po kawie – strasznie zaschnięte były te resztki kawy w środku, musiały mieć dobrych kilka dni. Odchrząknął, a potem się uśmiechnął. Patrzył na mnie chwilę, długą chwilę. Trochę to było dziwne. Odezwałem się więc, zacząłem znowu bez sensu:

– Także, ja w sprawie pracy…

– Tak, tak, super, super – oznajmił, kiwając głową.

I to tyle.

Nie wiem o co mu chodziło, nie wiem czego oczekiwał, patrząc tak na mnie, niczego nie mówiąc. Zielona koszulka, którą miał na sobie sprawiła, że jego żabia twarz zrobiła się jeszcze bardziej żabia. Oczy miał mętne, szare. Włosy rzadkie i też szare. Facet sprawiał wrażenie chorego, albo po prostu kogoś, komu życie za bardzo załaziło za skórę. Nadal się nie odzywał. No nieźle, cholera. Zacząłem bujać się na krzesełku, chyba z nudów. Zaplotłem dłonie i patrzyłem w sufit. Nic ciekawego tam nie było. W samym rogu siedział czarny pająk.

– To będę miał tę robotę? – odezwałem się w końcu, przenosząc na niego wzrok. Przez całą tę popapraną sytuację zacząłem się pocić, odczuwać coś między irytacją, zdenerwowaniem a złością.

– Będzie pan miał – zapewnił, znowu się szeroko uśmiechając.

– Czyli mam się uważać za zatrudnionego? – spytałem podejrzliwie.

– Tak.

– Dostanę jakąś umowę? Podpiszemy coś?

– Już podpisujemy.

– Ile będę dostawał za godzinę?

Facet wziął długopis i napisał mi to na odwrocie jakiejś faktury. Źle to nie wyglądało.

– Zaczynam od jutra? – zapytałem z nadzieją w głosie. Chodziło mi raczej o nieprzyjście jutro. Rozleniwiłem się przez te parę dni.

– Od jutra. Z samego rana – odparł.

– A dostanę taką koszulkę? – wskazałem palcem na tę, którą miał na sobie.

– Dostanie pan.

Pokiwałem głową i przestałem bujać się na krześle.

– No to chyba nie mam więcej pytań – oznajmiłem.

– Ja też nie – padło z jego płaskich ust.

Potem wstał, wyciągnął skądś papiery będące umową – przejrzałem wszystkie dokumenty, jakie mi podsunął. Aż dziwne, że od strony formalnej grało – tak mi się przynajmniej wydawało. Podpisałem na dwóch egzemplarzach, on też podpisał. Wyglądało na umowę zlecenie, na okres miesiąca – coś w rodzaju okresu próbnego. Właściwie było mi wszystko jedno, co to za umowa. Emerytury i tak nie miałem w planach doczekać.

No i tak to właśnie wyglądało. Dostałem robotę w sklepie po najdziwniejszej rozmowie o pracę, na jakiej byłem, może nawet najdziwniejszej rozmowie o pracę w całym moim życiu. Wyszedłem z lokalu tak samo zdezorientowany, jak wtedy, kiedy wchodziłem. Ludzie na ulicy mijali mnie obojętnie, nikt nie miał pojęcia, co zaszło przed chwilą, zresztą kogo to obchodziło. Kolejna pracowita robotnica w mrowisku. Brzozy lekko tańczyły trącane wiatrem. Autobus stał na przystanku, wypuszczając i wpuszczając pasażerów. Odwróciłem się, by spojrzeć jeszcze raz na cały ten sklep. Przy oknie stał Żabi Król – tak, wpadłem na to właśnie w tej chwili – i uśmiechał się do mnie, pomachał mi nawet. Uniosłem w przyjacielskim tonie dłoń i poszedłem w swoją stronę, mijając handlujące owocami stare baby. Przez chwilę wydawało mi się, że świat naprawdę stanął na głowie. Jednak nie. To tylko łażący między samochodowym korkiem facet, który wymalował się, wyglądał jak mim, pajacował do gorącego nad naszymi głowami słońca.

6

To, że dostałem robotę mogłem nazwać małym sukcesem. Postanowiłem opić całą sprawę, celebrować swój postęp – trzeba umieć cieszyć się z drobnych spraw, mniejszych kroków, to sekret do większego szczęścia, przynajmniej tak gdzieś wyczytałem. Niedaleko mojego mieszkania był osiedlowy bar – taka nieduża, kameralna knajpa dla tubylców. Ja też chciałem zostać tubylcem. Wybrałem się tam wieczorem z samym sobą, chociaż wcześniej zapytałem Dawida, czy nie ma ochoty wyskoczyć na piwo – nie wiem czemu, spotkaliśmy się w drodze do kibla i samo się ze mnie wyrwało. Na szczęście nie miał.

Lokal był naprawdę mały – trzy stoliki stały po lewej, a przy barze cztery okrągłe taborety pokryte czerwoną skórą. W ogóle było tutaj sporo czerwieni, niebieskiego i bieli. Telewizor wiszący w rogu na ścianie transmitował rozgrywki MLB i to chyba jakieś powtórki, zresztą nie wiedziałem, bo kto by interesował się tym sportem poza ludźmi ze Stanów. Czarny kij baseballowy tkwił tuż nad wejściem przytwierdzony dużymi hakami. Na drugiej ścianie, naprzeciwko, wisiała tarcza do darta. Wisiała też tutaj rozpostarta na całą szerokość amerykańska flaga. Sam bar nazywał się natomiast „Arizona". Podawali tutaj frytki, jakieś gotowe burgery i hot dogi – odgrzewane pewnie w starej, przerdzewiałej mikrofali. Whiskey też mieli, na długich półkach stały butelki przeróżnych marek i brandów. Ale piwo było polskie. Dosyć tanie. Usiadłem na jednym z taboretów z popękanej skóry i zamówiłem laną Warkę. Facet za ladą wyglądał na groźnego typa – wzdłuż i wszerz był wielki jak niedźwiedź. Przyglądał mi się uważnie, z nieukrywaną niechęcią. Z taką samą niechęcią w głosie zapytał:

– Coś ty za jeden?

– Mieszkam niedaleko. Od niedawna.

– Od jak niedawna?

– Kilka dni.

Postawił przede mną pełen kufel piwa i zajął się czymś innym. Spiłem trochę piany, była gorzka i dobra. Godzina jakoś po dwudziestej, a w barze tylko ja i on, ale w sumie był środek tygodnia. Piłem nieśpiesznie i oglądałem zupełnie dla mnie niezrozumiały mecz. Rzucali piłką, tłukli kijami, a potem biegli od poduszki do poduszki. Totalny bezsens. Do baru weszło dwóch starszych facetów. Zamówili po piwie i usiedli przy stole w rogu. Przyglądali mi się badawczo. Pewnie wyglądałem smutno i żałośnie – samotny gość w takiej spelunie. Ale nie obchodziło mnie to. Najlepiej czuję się sam ze sobą.

– Jeszcze jedno proszę – powiedziałem, kiedy skończyłem pić. Zapłaciłem. Nalał mi, łypiąc srogim wzrokiem. Nie był zbyt rozmowny.

Chwilę potem weszła jakaś kobieta. Starsza kobieta, wyglądająca na taką po przejściach. Nawet makijaż nie ukrywał wszystkich małych zmarszczek i bruzd. Ubrana skąpo, wywalony duży dekolt, buty na wysokim obcasie i czarne pończochy. Usta miała wymalowane jaskrawą czerwienią. Od razu było widać kim jest i czym się zajmuje. Usiadła obok mnie. Zerknąłem na nią. Zapaliła papierosa i teraz to ona spojrzała na mnie. Uśmiechnęła się. Uśmiech miała niczym rekin.

– Stachu, polej mi czystej z colą – rzuciła do faceta. Tamten nie wyglądał na szczęśliwego. Westchnął głośno, ale nalał jej drinka. – Później zapłacę, dobra? No nie kręć tak głową, przecież wiesz, że zawszę ci później płacę…

– Dobra tam. – Machnął ręką barman i wszedł za drzwi za barem.

Spoglądaliśmy na siebie, obcinaliśmy ukradkiem – trochę ona mnie, a trochę ja ją. Miała dziwnie ładne nogi, seksowne uda i łydki. Gapiłem się na nie mimo woli. Nie miałem pojęcia dlaczego tak mnie przyciągały. Starałem się patrzeć na mecz i pić piwo, ale kiedy

zauważałem, że ona odwraca głowę, od razu przenosiłem wzrok na jej nogi. Wtedy ona patrzyła na mnie. Trochę to trwało.

– Nie bywasz tutaj – odezwała się w końcu.

– Nie bardzo – przyznałem jej rację.

Barman wrócił, popatrzył na nią, potem na mnie i kręcąc głową, zaczął grzebać coś przy barze.

– Jestem Roksana – przedstawiła się.

– Karol – odpowiedziałem i od razu przeszedłem dalej. – Naprawdę masz tak na imię?

– Naprawdę. To nie jest żaden artystyczny pseudonim.

Ktoś wszedł do środka i stanął obok kobiety. Nachylił się i zamówił drinka. Nawet ja poczułem ostrą woń wody toaletowej. Roksana przyjrzała się facetowi z mniejszym zainteresowaniem, niż mnie przed chwilą. Gość zerknął na nią i posłał uśmieszek. Potem usiadł niedaleko. Obserwował ją, zjadał zachłannie wzrokiem.

– Wiesz z czego żyję, prawda? – zapytała obojętnie.

– Domyślam się.

– I co ty na to?

– Jestem totalnie spłukany. Dopiero dziś dostałem robotę i naprawdę nie mam kasy.

Wyznałem prawdę. Nie widziałem sensu w okłamywaniu jej.

– Szkoda. Wydajesz się miłym gościem. Takim, co nie sprawiałby problemów.

– Dzięki.

Przysunęła się do mnie – szurając zgrabnym tyłkiem po skórze siedziska – i nachyliła. Wskazała palcem na tamtego faceta i szepnęła konspiracyjnie:

– Tamten gość płaci mi trzy razy w tygodniu. Poniedziałek, środa i sobota. Zawsze te same trzy dni. Tydzień w tydzień. Bardzo to nudne, wiesz? Trochę jakbym miała, cholera, męża.

Rozbawiła mnie tym.

– Byłeś w ogóle kiedyś ze starszą kobietą? – zapytała, prostując się na swoim siedzeniu.

– Nigdy nie było okazji.

– No tak. Te młode siksy odwalają całą robotę. Kiedyś facet nie miał takiego pola manewru, żeby pobzykać. Chciał poruchać, to musiał kogoś mieć albo iść do burdelu. A dziś? Internet postawił wszystko na głowie, nie trzeba się nawet za bardzo starać, żeby zaliczyć. Młode dziewczyny się nie szanują. One nawet nie kupczą swoim ciałem, one je po prostu oddają. Charytatywnie, cholera.

– Ich ciała, ich sprawa. Chociaż coś w tym jest, w tym co mówisz.

– Pewnie, że jest.

Słuchałem jeszcze jakiś czas jej wywodu na temat obyczajowości, przytakując od czasu do czasu w geście zrozumienia. Dużo miała do powiedzenia, mądrości przeplatała z jakimiś absurdami. Brałem to wszystko trochę za żart, chociaż mogła przemawiać przez

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej.